



Rozmowa odbyła się 24 marca 2009 roku w Warszawie

BOLI PRZYJEMNIE

Andrzej Wajda to szczęściarz?

– W każdym razie ma czuja.

Patrzyłem na jego najnowszy film „Tatarak” i pomyślałem sobie: oto „starzec szczęścia”, bo pani i jej wtedy dziejący się dramat osobisty, śmierć męża, właściwie ten film zrobili.

– Tak, ale on pozwolił. Nie znam innego reżysera, który by na to wpadł. Nie tylko pozwolił, on to sprowokował.

Bo?

– Pomyślał, że robimy film o śmierci, o konfrontacji młodości ze starością. Dla każdego to jest zresztą o czym innym. Ale czuł, że taki sam temat jest obok nas, a my tego nie widzimy. Cały czas mówimy o nim, ale prywatnie, szukamy fikcji, współczesnej części „Tataraku”, wymyślamy jakąś historię, a ona jest tutaj, pod ręką, w moim życiu. Nie znam drugiego reżysera, który by się zdecydował zrobić taki zwrot w połowie filmu.

Część „Tataraku” to podzielony na kilka fragmentów pani monolog opowiadający ze szczegółami umieranie męża.

W mówionym przez siebie tekście jest pani Krystyną Jandą, a on Edwardem Kłosińskim. To było łatwe?

– Tak. Jak oddychanie. W ogóle przy tym filmie nikt się nie popisował.

To rzadkie?

– Zazwyczaj wszyscy chcą zrobić strasznie dobry film, mają pomysły, inscenizują, wymyślają, a tu ani Andrzej nic nie wymyślał, ani Edelman kamery nie stawiał w różnych dziwnych miejscach, o formie nie rozmawiał nikt. A treść przyszła sama. To jest film z potrzeby naturalnej.

Film jest o przemijaniu, śmierci.

Rozmawiała pani o tym z Wajdą – on często myśli o śmierci?

– Myślę, że tak, przede wszystkim przez tę tak zwaną sercową chorobę, którą przeżył. To był dość dramatyczny moment, on jakby się na nowo urodził po tej katastrofie z sercem. A jak się coś takiego stanie, to już nie można od takich myśli uciec. On już to wie, że w każdej chwili można uisnąć na ławce i umrzeć.

A pani?

– Teraz to mi się wydaje, że w każdym momencie mogę umrzeć, nie wiadomo z jakiego powodu... Tak łatwo się umiera.

Wcześniej tak nie było?

– Myślałam, że nie umrę, że będę zawsze.

Dopiero śmierć najbliższej osoby zmienia taką perspektywę?

– Zmienia dosłownie wszystko.

Co się zmieniło?

– Że nie ma nic dalej.

To co to jest to, co jest teraz?

– Tylko dzisiaj. A jutra już może nie być.

Wcześniej pani planowała przyszłość?

– Szczególnie daleką przyszłość. Planowałam, co będę robić za 10 lat. Kupowałam książki do biblioteki, które będę czytała „kiedyś”. Róże sadziłam, domy urządzałam i myślałam, że potem będę w nich żyła i czytała. A teraz już nie, rozdaje książki.

Jak się pani z tym czuje?

– Nie oceniam tego, na nic nie czekam, do wszystkich zaczęłam mówić „ty”, w ogóle się nie przejmuję.

Schamiała pani po prostu.

– Schamiałam, ale i... Kiedy ktoś mówi o jakiejś złej recenzji, to wtedy się uśmiecham i mówię: no to co... Wszystko wydaje mi się nieważne.

Zapomnijmy na chwilę o kontekście tej przemiany. Nie żałuje pani, że tak późno to się stało, że powinna tak pani w wieku 25 lat?

– Nie, teraz dorosłam do takiego wieku, że tak mogę. Kiedyś strasznie zależało mi na wielu rzeczach, na tę starość zbierałam to wszystko...

Czyli tak naprawdę życie bez sensu pani przeżyła, zbierając na tę starość, która teraz okazała się inna.

– Właściwie bez sensu, ale co przeżyłam, te moje udręki, ekstesy... A teraz ani nie mam ekstazy, ani udręki, tylko codziennie codzienne życie.

W pani monologu o umieraniu męża uderzył mnie fragment, kiedy pani mówi, że zachowała jego telefon, płaci abonament, że czasem...

– Mam do dzisiaj.

Że czasem pani dzwoni na ten telefon.

– Nadal to robię.

Nagrywa się pani?

– Tak.

To są żale?

– Nie, tak się nagrywam, tak sobie, to sprawa przyjemności.

Kiedyś był taki kulturowy obyczaj, że się chodziło na grób...

– Ja chodzę.

...i tam ludzie mówili do zmarłych.

– Nie mówię, ale chodzę regularnie. Dostałam też takiej obsesji, że zawsze musi się palić gdzieś światło, jak nie na cmentarzu, to zapalam pod domem. Jak gaśnie pod domem, to w teatrze się pali. Pilnują tego na szczęście już za mnie różni ludzie, wiedzą, że jakby gdzieś zgasło, to będę miała jakiś niepokój.



Najlepiej jeśli po prostu przeczytacie tę rozmowę z **Krystyną Jandą** – ona sama piękniej opowiada o swoim życiu po śmierci męża, niż zapowiedziałyby to jakiegokolwiek słowa od redakcji

Pani sama pisała sobie ten monolog?

– Tak, napisałam 19 stron w godzinę. Wajda skrócił, ja nagrałam wszystkie 19 stron. Ale pisałam go do filmu, to nie był „mój dla mnie” monolog.

Nie miała pani wewnętrznego oporu, żeby widzom opowiadać tę prawdziwą historię?

– Najmniejszego. Sama bym nie wpadła na taką myśl, ale potem, jak mnie Andrzej o to poprosił, to nie było to problemem. Uważałam, że to jest niesamowita szansa.

Na co?

– Na to, żeby opowiedzieć o moim mężu od innej strony. I żeby to zostało na zawsze. Bo to jest film Wajdy, więc nawet gdyby się nie udał, toby zostało.

A dlaczego pani mąż był taki strasznie dla pani ważny?

– To jest najdziwniejsze pytanie, jakie w ogóle usłyszałam w życiu. Bo był, bo się taki zdarzył. Właściwie wszystko miało sens tylko w tym naszym związku, to, co robiłam, co oboje robiliśmy, miało znaczenie przez ten związek. A potem miała być starość... Przez te 25 lat małżeństwa mówiłam: ty mi tylko jednej rzeczy nie zrób, nie umrzyj przede mną, bo co ja zrobię?! Zawsze mi się wydawało, że on ma obowiązek żyć dłużej. A ponieważ mi się wydawało, że on wszystko może i załatwi, i zawsze będzie w porządku, więc i w tej sprawie będzie w porządku.

Mogła się pani po tym wszystkim nie pozbierać?

– Nie, za dużo mam obowiązków. Dużo dzieci, wnuków, teatr, gram. Szybko postawiło mnie na nogi to, że grałam co wieczór. Na moment nie zwolniłam.

Pani w filmowym monologu pyta samą siebie: jak mogłam w dniu jego śmierci wieczorem grać? Jak?

– Do dzisiaj nie wiem i nie wiem, jak zagrałam. W ogóle nie pamiętam całego miesiąca „po”, on zaniknął w mojej świadomości, pogrzebu nie pamiętam, nic nie pamiętam. Odzyskałam świadomość miesiąc później.

Aktor jest więc trochę odłączony od człowieka, skoro mogła pani grać.

– Tak jak stolarz robi stół w rozpaczy, tak ja grałam, ale myślę, że stół się nie paczy i moje granie też było takie samo.

Nie pojawiło się w trakcie choroby pani męża poczucie, dosyć powszechne dzisiaj w Polsce, że ktoś zawinił, lekarz?

– Nie, dlatego że on umierał tak, jak żył. Umierał jak 100 kowbojów, jak 10 wspaniałych. Umierał tak po prostu, jakby machnął ręką. Ani przez moment nie miał żalu, śladu rozpaczy, do końca pragmatyczny, uśmiechnięty.

Imponował pani?

– Strasznie. Ani słowa skargi żalu. Ja to bym... Boże kochany! Co ja bym zrobiła na jego miejscu! Poruszyłabym niebo i ziemię! Coś bym nagrała, coś opowiadała, coś zostawiała za wszelką cenę, jakiś ślad! A tu nic, ani słowa.

Pani mąż wierzył, że gdzieś po śmierci się przechodzi?

– Nie; był zbyt pragmatyczny. Nawet jeżeli w to wierzył, to wstydził się to powiedzieć głośno. W ogóle o takich rzeczach nie mówił. Wie pan, że ja go nigdy nie widziałam, żeby zszedł na śniadanie nie ubrany, ale w piżamie?

To straszne.

– Niesamowite. Ja zawsze w piżamie jadłam śniadanie i nieumyta, a on zawsze po prysznicu i ubrany.

To jakaś katorga mieć takiego poukładanego męża?

– Super. To daje poczucie bezpieczeństwa. Słabości tolerował u mnie, w stosunku do siebie nie znośił słabości.

Był niewolnikiem jakiegoś sposobu bycia czy taki po prostu był?

– Taki po prostu był. Jak go pytałam, czy zawsze taki był, to powiedział, że miał niemiecką nianię. Zawsze się z tego śmiał. Zawsze spał przy otwartych →



→ oknach, bo tak było zdrowiej, a to, że było mu zimno, na nikim nie robiło wrażenia. I już.

Od pewnego momentu wiedzieliście, że jest śmiertelnie chory. Wtedy rozmowy się zmieniają?

– Nie, on nie mówił, bo się nie skarżył, a ja nie chciałam go ranić i dać mu do zrozumienia, iż wiem, że umrze. Poza tym myśmy, on też, nie wierzyli, że umrze. Wiedział, ale nie wierzył. Ja jestem optymistką nieuleczalną, karykaturalnie głupią, myślałam więc sobie, że może uda się jeszcze dwa lata... Przeczytałam w Internecie, że górna granica przy takim stadium tego schorzenia to jest dwa lata. I tak rozkładałam siły na dwa lata, a tu niespodziewanie umarł.

Rozmawialiście o codziennych sprawach?

– Absolutnie. Pamiętam tylko jeden moment, jak mieli męża uśpić, wprowadzić w śpiączkę, bo stan był nie-dobry, i uśpionego dalej leczyć z zapalenia płuc. Zrezygnowali z tego w połowie zabiegu i on był zły. Nigdy w życiu nie widziałam go tak złego!

Czemu?

– Dostał szału, że go nie usypiają! Bo myślał, że go uspią i z głowy, a tu nie. Kiedy go zabierali, machał mi, uśmiechał się do mnie, był absolutnie szczęśliwy, że go uspią.

Bo myślał, że taki będzie koniec.

– Myślał, że tak to będzie.

A pani?

– Myślałam, że to pomoże w leczeniu zapalenia płuc.

Nigdy nie uciekała pani w jakies „cudowne” metody, tybetańskich lamów, cudotwórców?

– Nawet nieśmiało proponowałam to mężowi, ale on na mnie patrzył tak...

To ta niemiecka pokojówka...

– Patrzył na mnie z uśmiechem i politowaniem. Nawet przyprawiałam do niego różnych takich ludzi, ale on po prostu totalnie odmawiał współpracy.

A pani za ten okres choroby i śmierci ma do siebie jakiś żal?

– Tak. Gdybym wiedziała, że to będzie tak krótko, to-bym jeszcze więcej z nim była. A tak jednak wyjeżdżałam, żeby zrobić zakupy albo żeby zagrać. Wyjeżdżałam wieczorem ze szpitala do teatru i wracałam w nocy do szpitala, portierzy już znali długość wszystkich moich spektakli i wiedzieli, że nie mogą zasnąć do którejś tam godziny, bo ja dzisiaj gram „Boską”, a kiedyś gram „Ufo”, to spektakl jest krótszy. A z drugiej strony, jak zrezygnowałam z wyjścia, to bałam się, że on się zacznie bać, że to coś znaczy. Udawałam, że wszystko jest w porządku, bo nie chciałam, żeby się bał. Zresztą umarł w domu, zabrałam go ze szpitala w takim momencie, co to niby każdy rozsądny by go tam zostawił.

Ludzie powinni umierać w domu?

– Myślę, że to jest marzenie większości ludzi.

Pani też?

– Tak, a on chciał umrzeć w domu na pewno. Umarł w ulubionym miejscu, z psem pod łóżkiem, który leżał tam cały czas.

Z filmowego monologu wynika, że to nie była jakaś dramatyczna śmierć.

– Nie, on po prostu umarł między jedną łyżką zupy a drugą. Do tego stopnia, że poszłam do mamy zapytać, że wydaje mi się, że chyba umarł, bo nie mogłam w to uwierzyć.

Widzowie tego spektaklu zaraz „po” czuli, że coś się stało, że inaczej pani gra?

– Koledzy mi teraz opowiadają, że grałam zupełnie normalnie.

I można tak po prostu nie myśleć w trakcie grania?

– Jak wchodzi na scenę, to wszystkich innych rzeczy nie ma, jak wchodzi prywatna myśl, to wszystko się zaburza. Mam taką dużą dyspozycję zawodową, emocjonalną, wchodzi na scenę i od tego momentu tylko gram. Świadomość się pojawia, kiedy się kończy spektakl.

Czy pani coś to przeżyć, umieranie męża, powiedziało też o pani własnym końcu, czy jakoś to przygotowuje?

– Tak, jestem absolutnie pogodzona z tym, że umrę. Od tego momentu wiem na pewno, że śmierć istnieje. Bo nawet jak umarł mój ojciec, to było jakby poza mną. Teraz wiem, że każdy może umrzeć w każdej chwili i moim zdaniem w ogóle bez powodu.

I to jest niesprawiedliwe – czy raczej normalne?

– Mój mąż też uważał, że to jest normalne. Ja tylko teraz mam pretensję do wszystkich, którzy żyją dłużej niż on. To wydaje mi się niesprawiedliwe, umrzeć tak w wieku 65 lat, w takiej dyspozycji intelektualnej, w świetnej formie zawodowej?! Odchodził ktoś, kto ma tak nieprawdopodobną wiedzę, której nie przekazał nikomu, bo wiedział absolutnie wszystko. Traktowałam go jak encyklopedię. Zadawałam jakieś szczegółowe pytania i dla mnie to było naturalne, że mężczyzna wie takie rzeczy. Teraz okazało się, że tylko on wiedział, okazuje się, że dookoła mnie nie ma takich ludzi, a ja z nimi muszę teraz rozmawiać, bo nie mam z kim.

Są bęcwałami?

– I są po prostu bęcwałami. Cały czas z nim rozmawiałam i myślałam, że wszyscy są tacy. A teraz nie ma z kim porozmawiać i to jest najgorsze. Reszta już jest bez znaczenia. Jak ktoś mnie na przykład zapyta, z kim bym chciała pojechać na wakacje, to ja bym chciała pojechać na wakacje z Leszkiem Kołakowskim!

Poprzedzka wysoko postawiona. Rzeczywiście mąż zostawił panią w trudnej sytuacji.

– W okropnej! Nawet staram się czytać gazety i wiedzieć, o co chodzi. Ale nudzi mnie to niestety, tylko w jego interpretacji to wyglądało dobrze.

Czy przez to jest pani teraz głupsza?

– W jakimś sensie oczywiście, bo nie mam tej drugiej strony, która skonfrontuje wiedzę z tym, co mi się wydaje. On jakoś to prostował. Dlatego też opowiedziałam o moim mężu w filmie inaczej, mając nadzieję, że to zostanie.

Po co ma coś po nim zostać?

– Ale musi zostać! On był artystą, więc zostały filmy, ale nikt nie wiedział, jakim był tak naprawdę człowiekiem! Mnie tak potwornie dotyka, że za mojego życia umarło tyle osób, z którymi siedziałam w garderobie, i nie ma po nich śladu, nie zostało po prostu nic! Ślaska, Mrozowska, Mikołajska, Świdzki, Roman Wilhelmi... Jakiś ślad na taśmie... Ale w ogóle co to były za kosmosy, każdy z tych ludzi! Nawet nie jest to do opowiedzenia!

Może tak ma być? Taki pomysł na istnienie życia, że w gruncie rzeczy bezpotomnie i bez śladu znikamy, żeby inni mieli miejsce.

– Może, ale... Wie pan, jak to jest? Zawsze się przyplącze jakiś taki z boku, ktoś, kto zostawia o tym kimś świadectwo.

Najczęściej fałszywe.

– Oczywiście. A mnie dał los do ręki taki prezent, ten film. Tu o nim opowiedziałam w sposób taki poboczny, ale w jakimś sensie prawdziwy. Po to też jestem aktorką, ten sposób jest dla mnie właściwy, bo przecież ja tego nie opowiadam w filmie naprawdę, ja to zagrałam. Tego, co napisałam, nauczyłam się na pamięć i Wajda miał absolutnie rację, mówiąc: musisz się tego nauczyć na pamięć. Nie wolno ci improwizować, bo to jest film.

On cały czas jest obecny w pani życiu, zaprzęta głowę?

Krystyna Janda debiutowała w wieku 24 lat. I to od razu u Andrzeja Wajdy, w „Człowieku z marmuru”. Jako jedyna polska aktorka zdobyła Złotą Palmę na festiwalu w Cannes – za rolę w „Przesłuchaniu” Ryszarda Bugajskiego. Innych nagród ma na koncie bez liku, w tym za reżyserię filmu „Pestka”. Zjednała sobie nie tylko krytyków, ale także publiczność, z którą ma świetny kontakt. Od lat pisze blog (www.krystynajanda.net), na którym regularnie relacjonuje swoje życie, także prywatne. W 2005 roku za pieniądze własne i swojego męża (zmarłego przed półtora rokiem wybitnego operatora Edwarda Klosińskiego) założyła własny teatr. Dziś Polonia jest jedną z najpopularniejszych warszawskich scen. Urodziła się w Starachowicach. Ma dorosłą córkę Marię (także aktorkę) i dwóch nastoletnich synów: Adama i Jędrka. We wchodzącym właśnie na ekrany „Tataraku” spotkała się z Andrzejem Wajdą na planie po raz pierwszy od 1981 roku, gdy



– On jest ciągle punktem odniesienia. Strasznie dużo spraw zostało, strasznie dużo przedmiotów zostało...

Pani nie jest taką osobą, która usuwa te przedmioty z widoku?

– Broń Boże! Nie mogę tego ruszyć, a niech sobie leży, a co to mnie przeszkadza?

Ale też boli, jak się patrzy?

– Boli, ale nie w taki bolesny sposób, boli miło, bo to jest przyjemne. Gdyby nie bolało tak w ogóle, toby było nieprzyjemne.

Pani ma dobrą pamięć?

– Dobrą do szczegółów, jak każda kobieta.

Wasze wspólne życie pani rozpamiętuje, wspomina, ogląda czasem zdjęcia?

– Oglądam zdjęcia bez przerwy.

Czemu?

– To miłe, a poza tym on był piękny.

Pani nadal jest w nim zakochana.

– Bo on był fantastyczny! Mam dwóch synów, mam też córkę, ale to jest jakby inne życie i w każdym z nich umiejscowiły się inne cechy jego charakteru. To strasznie mnie bawi i śmieszy, takie same natręctwa, obawy, gesty. Teraz się zrobiłam matką, po prostu żyć ze mną, nie umierać, wszystko im wolno. Kiedyś mój mąż pilnował, żeby wstawali, brali prysznic, schodzili na śniadanie, nie pozwalał na wszystko, a teraz śpią do drugiej. Mówię: niech sobie śpią, a co to?

Co z nich wyrośnie!

– Okropne coś, ale moim zdaniem niech wyrośnie.

Pani się zrelatywizowała, pani Krystyno.

– Absolutnie i totalnie.

Życie z dnia na dzień, dziś jest dziś, koniec, kropka. A co będzie w przyszłości?

– Trochę mi się nie chce grać. Jak po 10 minutach załapię, to jakoś idę i sprawia mi to przyjemność.

Może się pani już nagrała?

– Nie, teraz już szukam tylko przyjemności. Takiej, żeby mi było miło na scenie, żeby ludziom było miło. Już nigdy nie zagmam nic smutnego, bo mam za mało życia. Więc co ja się będę wdawała w jakieś smutne problemy na scenie? Staram się, żeby było wesoło mnie i ludziom, żebyśmy nie tracili czasu na jakieś głupoty i na odkrywanie nowych środków wyrazu.

Ale przecież one czekają, żeby je odkryć!

– To jest nudne. Tak jak czytanie recenzji.

A na coś jeszcze pani czeka?

– Nie. Może na zbudowanie magazynów w teatrze, żeby nie trzeba już było wozić dekoracji?

Czy to nie jest tak, że – jak mówią na wsi w moich stronach – teraz pani „tylko aby ino żyje”?

– Tak, ale bez wstrętu.

I bez smutku?

– W smutku, ale ten smutek jest bardzo przyjemny. Dobrze się z tym czuję. Rok chodziłam na terapię, żeby nie wpaść w depresję. Lekarz mi kazal i cały czas tłumaczył, że ja zaraz wpadnę w depresję, bo 80 procent wdów wpada. W ogóle nie mogłam zrozumieć, co on mówi, bo właśnie wyskoczyłam na pięć minut między dwoma ważnymi sprawami. Ale nie wpadłam w depresję. On to bardzo ładnie nazywał: ja tak bym nie chciał, żeby pani się obniżyła jakość życia. Trochę się siłą rzeczy obniżyła, ale to normalne. Tyle że ludzie mnie wkurzają. Lubię być sama pierwszy raz w życiu. Tak długo żyję, a pierwszy raz w życiu rozkosz jest, jak jestem sama. I nie zmuszam się do niczego.

Czemu wcześniej nie dostrzegła pani uroków bycia samemu?

– Bo zawsze byłam z mężem, w ogóle nigdy nie myślałam osobno. Nawet jak byłam sama, to myślałam: on tam gdzieś jest.

I ten dzisiejszy urok samotności na czym polega?

– Eliminuję wszystko, co mnie denerwuje, nikt nie zawraca mi głowy jakimiś głupotami. A ile ja się w życiu napatrzyłam na histerie aktorów! Zawsze to było jak chwila przed zgonem. Te płacze, te rozpacz, te przedpremierowe histerie, na przykład pamiętam wywiad Śląskiej, który ona autoryzowała siedem razy. I całe pół roku byliśmy udęczeni autoryzacją jakiegoś wywiadu, nie wiadomo co! Jak dzisiaj na wszystko to patrzę, to rzucanie butami, to rozwodzenie się z powodu roli albo rozpacz, bo ktoś źle powiedział o kimś... Boże! To w ogóle bez sensu mi się wydaje!

W tym sensie życie nabrało sensu?

– Nabrało. Bo byłoby bezsensu. □